

**Gabriel Dobosz – „Ostatni dzień wojny”**

*Piętnasty maja 745 roku.*

Dawno nic tu nie pisałem. Wraz z ojcem mamy ostatnio mnóstwo pracy. Powodzi nam się nieźle, ale w jego oczach coraz częściej dostrzegam niepokój. Ogrom zamówień na drzewce włóczni i strzały nie pozostawia złudzeń.

Mówi, żebym uciekał, zostawił to wszystko, przecież poradzę sobie w świecie; mam fach w ręku, jestem dobrym stolarzem, umiem też pisać i czytać. Uważam, że przesadza. Mirrowing położone jest z dala od frontu, wątpliwe by wróg kiedykolwiek zapukał do bram miasta. Wielka polityka nigdy nas nie dotyczyła.

---

*Dziewiętnasty maja 745 roku.*

Postanowiłem pisać częściej. Nie jestem filozofem, ani nie mam nadzwyczaj bogatej wiedzy przyrodniczej, jednak przeczytanie tych zapisków za kilka lat – gdy nie będę już tym piętnastolatkiem, co dzisiaj, a, na przykład, osiągnę obecny wiek mojego ojca – może być całkiem ciekawym doświadczeniem.

Na ogół zajmuje mnie praca, ale w wolnej chwili lubię wybrać się do tawerny posłuchać, co mówią ludzie. Szczególnie ci przybywający spoza miasta. Niebawale ekscytują mnie wieści przywiezione, wraz z towarami na wozach, z odległych krain. Ostatnio podróżników jest mniej. Zamiast o smaku zagranicznego jada, architekturze, poezji i pięknych pannach o egzotycznej urodzie mówią głównie o wojnie. Gdzieś tam podobno wróg zajął sporo ziem króla Grasjana, gdzieś zdobył zamek, albo spalił wieś. Nie chcę o tym słuchać. Nie ma nic nudniejszego od polityki.

---

*Dwudziesty drugi maja 745 roku.*

Podobno wojna zawsze gdzieś trwa. Czasem przygasa, ledwie się tli, nieomal można o niej zapomnieć, a potem znów rozgorzeła. Tak mówią ludzie. Rzadko mówią o czymś innym.

Próbuję sobie przypomnieć kiedy zaczął się ten konflikt i nie potrafię. Musiałem być wtedy zbyt mały, by pojąć takie sprawy. Gdy pytam ojca, tylko kręci głową i odchodzi. Czy to możliwe, żeby walki toczyły się tyle lat?

---

*Trzydziesty maja 745 roku.*

Nazywają ich Innejczykami. Podobno pochodzą z jakiegoś kraju na dalekim wschodzie, stamtąd przynajmniej nadeszły ich armie. Opowiadał dziś o tym pewien człowiek w gospodzie. Skoro tylko wyjawiał, skąd przybył, hałaśliwi zazwyczaj bywalcy natychmiast zamienili się w słuch.

Był szczupły, włosy już zaczynały mu siwieć. Wracał właśnie z Doliny Wyjca na wschodzie, gdzie wysłała go Kompania Górnicza z Rowans. Jego zadaniem było przygotowanie gruntu do ubicia interesu, łatwo było się domyślić jakiego, lecz rozmowy ostatecznie nie były zbyt udane. Ludzie z doliny – twardzi, nieustępliwi i surowi zupełnie jak ich ziemia – okazali się niechętni współpracy.

Martwiło go, że wróci z pustymi rękami. Feralnego wieczoru przebywał w karczmie jednej z tamtejszych osad, rano miał ruszać w drogę powrotną. Zamierzał przed pójściem spać wypić parę kubków grogu, ale nie dane mu było posiedzieć zbyt długo nad napitkiem. Dwóch miejscowych górników pokłóciło się przy grze w kości i szybko przeszło od słów do czynów. Obaj swą budową przypominali skały pokrywane gęsto tę jałową krainę, więc gdy, okładając się zawzięcie kułakami, runęli na stół tuż obok zasiadającego przy nim mężczyzny, mebel poszedł w drzazgi. Zaraz potem do bitki dołączyli następni. Zniesmaczony podróżnik opuścił przybytek. Wychodząc w mglisty wieczór skierował się ku pobliskim zaroślom, gdyż wypity grog rozsadzał mu już pęcherz. To go uratowało.

Gęsta mgła stłumiła dźwięki najeżdżających koni, jej mleczna zasłona nie pozwalała w porę dostrzec zagrożenia. Dopóki wieczornej ciszy brutalnie nie przerwał wrzask z kilkunastu gardeł, nikt nie był świadomy, że osada została najechana. Mężczyzna skoczył głębiej w krzaki sekundę wcześniej nim jeźdźcy przemknęli tuż obok. Ktoś wyszedł z karczmy, prawdopodobnie również uciekając od rozróby wewnątrz, i wpadł prosto na nich. Cięcie zakrzywionym mieczem z rozpędzonego grzbietu konia rozplątało gardło nieszczęśnika nieomal skracając go o głowę. Inni mieszkańcy również opuszczali swe izdebki zaalarmowani krzykami. Zaczęła się rzeź.

Podróżnik, niezauważony przez napastników, poczekał na dogodny moment i uciekł do zagajnika karłowatych drzew nieopodal. Ukrywał się tam całą noc słuchając bezradnych krzyków ofiar, a gdy wrócił rankiem zastał tylko dopalające się zgliszcza. Innejczycy zrabowali co się dało, a chaty puścili z dymem. Wyglądało na to, że nie oszczędzili nikogo.

Według relacji podróżnika ci wojownicy w niczym nie przypominali naszego rycerstwa. Nosili stalowe kirysy, długie płaszcze oraz dziwne rogate hełmy z osłoną twarzy w postaci maski, co nie pozwalało dostrzec ich oblicza. Walczyli zakrzywionymi mieczami o szerokich klingach.

Kończąc opowieść, podróżnik zwrócił się bezpośrednio do mnie. *Widzisz te włosy, chłopcze?* – zapytał wskazując swoją siwiejącą skroń. – *Jeszcze trzy tygodnie temu były czarne jak u kruka. Wracam do Rowans traktem na zachód, a jeśli ci barbarzyńcy dotrą aż tutaj, radzę wam wszystkim zrobić to samo.*

---

*Trzeci czerwca 745 roku.*

Byłem dziś na rynku. Nigdy jeszcze nie widziałem tyle gawiedzi wśród straganów. Ludzie w pośpiechu napychali dobrami wiklinowe kosze. Spytałem jednego z handlarzy, skąd ta gorączkowa atmosfera. Powiedział mi, że to przez plotki. W mieście krąży wieść o zbliżającej się wrogiej armii. Wielu poczęło już robić zapasy na wypadek oblężenia. Niektórzy zdecydowali się nawet na opuszczenie Mirrowing.

Ojciec, gdy mu to powiedziałem, znów przekonywał mnie, bym poszedł w ich ślady.

---

*Szósty czerwca 745 roku.*

Rano pracowaliśmy z ojcem w warsztacie, kiedy nagle na zewnątrz rozległy się krzyki. Wyszliśmy zobaczyć co się dzieje na biegnącej koło domu wyłożonej kamieniem ulicy. Tam jakiś mężczyzna w towarzystwie kobiety i trójki dzieci, najwyraźniej swej rodziny, przeklinał gniewnie stojąc przy wyładowanym po brzegi wozie. Skrzynia i jutowy wór spadły z paki, a ich zawartość wałała się po ulicy. Nic dziwnego, pomyślałem, droga tu pioruńsko nierówna, a wóz tak wypchany, że aż dziwne, że osie nie popękały.

Pomogliśmy mu pozbierać dobytek. Było im spieszno do wyjazdu.

– *Pan też uważa, że wojna dotrze tutaj?* – zapytałem mężczyznę.

– *Nie mam wątpliwości. Słyszałem, że na wschodzie idą jak burza. Trzeba uchodzić, póki bramy wciąż są otwarte* – odrzekł niecierpliwie, gramoląc się z powrotem na wóz.

– *Mieliby oblegać miasto? Żaden człowiek jeszcze nie sforsował wysokich murów Mirrowing.*

Popatrzył na mnie badawczo. Nagle zrozumiałem, że to nie irytacja z powodu opóźnienia sprawiała, że był taki pobudzony. On się bał i to nielicho.

– *To nie są ludzie, chłopcze* – powiedział z powagą – *i ludzkie przeszkody ich nie powstrzymają.*

– *Nie ludzie...?* – bąknąłem zdumiony zerkając na ojca. Wzruszył tylko ramionami, nieznajomy zaś ciągnął:

– *Sam słyszałem, co mówili przyjezdni. Innejczycy wychodzą z mgły, by nakarmić się krwią. Znasz takie mury, które potrafią zatrzymać mgłę?*

– *Ależ...*

– *Nie mają nawet twarzy, tylko stalowe maski, za którymi kryje się jakaś rogata potworność. Nie obchodzą ich łupy, chcą palić i mordować, dlatego nie układają się z Grasjanem. Wybili do nogi wszystkich w Dolinie Wyjca, nie zamierzam czekać, aż tutaj uczynią podobnie.* – Potem odjechał, nim miałem szansę coś odpowiedzieć.

Ojciec nie wydawał się poruszony rewelacjami. *Głupie gadanie plotkarzy* – stwierdził tylko i nie chciał więcej wracać do tematu.

---

*Ósmy czerwca 745 roku.*

Miasto zamówiło jeszcze więcej kołczanów strzał i beltów. Mimo to odczuwam dziwny spokój. Roboty mamy po łokcie, z tego powodu nie mam czasu chodzić do tawern, a moje myśli skupione są głównie na

pracy. Dobrze mi to zrobiło. Wywietrzały mi już z głowy nedorzecznosci, którymi zaraził mnie człowiek z wozu. W tym gadaniu o najeździe więcej zwyczajnej ludzkiej paniki, niż prawdziwego zagrożenia. Niedługo nikt już nie będzie o tym pamiętał.

---

*Jedenasty czerwca 745 roku.*

Ojciec kazał mi zrobić sobie trochę wolnego, co przyjąłem z wdzięcznością. Przeszedłem się po mieście. Myślałem, że niewiarygodne plotki umarły śmiercią naturalną, a ludzie zajęli się już czymś innym. Nic bardziej mylnego.

W cechu powiedziano mi, że wszyscy zrzeszeni mają masę zamówień, nie tylko my. Atmosfera na ulicach przywodzi na myśl, jakby wojna już tutaj dotarła. Wszędzie kręci się zdecydowanie więcej straży. Sprawdzają każdego wyglądającego podejrzanie, a wszelkie zbiegowiska natychmiast rozganiają. Podobno zamknięto ratusz.

---

*Trzynasty czerwca 745 roku.*

Dzisiaj jest rocznica śmierci matki. Umarła cztery lata temu, a ojciec wciąż nie może się z tym pogodzić. Wiem to, choć prawie nigdy o niej nie mówi. W ten dzień zawsze otwiera dobre wino i wypija na jej cześć, oddając się milczącym rozmyśleniom. Dzisiaj po powrocie wieczorem do domu zastałem go jeszcze bardziej posępnego niż zazwyczaj. Był kompletnie pijany.

– *Siadaj* – polecił mi nalewając nam obu.

Wzrok miał mętny, jego niepewna ręka rozlała nieco trunku na stół. Zaklął cicho, odłożył gąsior i jednym haustem opróżnił swój kielich.

– *Pytałeś mnie, jak długo trwa ta wojna* – zaczął bełkotliwie. – *Zaczynasz myśleć, to dobry znak. Ja w twoim wieku...* – zaśmiał się ochryple i machnął ręką. – *Dzisiaj też prawie nikt nie pyta, wcale nie byliśmy gorsi.*

Nie bardzo rozumiałem, o czym mówił, lecz zaciekał mnie poruszony nagle temat wojny. Spodziewałem się raczej wspomnień o matce.

– *W 710 roku tatko poszedł walczyć. Król Grasjan obiecywał łupy, branki... Tron jeszcze nie ostygł po czcigodnym tyłku Rogualda II; synek nie zdążył nawet wytrzeć jego łupieżu z korony, a już za miecz chwycił... Więc poszedł tatko, dziadek twój, i tyle go widziałem. Wtedy to byli... jak oni tam?* – ojciec mruczając coś pod nosem znów napelnił nasze naczynia. – *Zagrany! No, Zagrany na nich się mówiło. A mówiło się jeszcze, że mają pazury jak niedźwiedzie, a w jednej wsi, to niemowlęta porwali, by ich krew wyżłopać.*

– *I mieli?* – zapytałem.

– *Co?*

– *No te pazury.*

– *A skąd mam wiedzieć, synu?! Sześć lat wtedy miałem. Tutaj nie doszli. Ciężka jazda nasza wysiekła ich i pogoniła aż gdzieś pod Krzyżową Przełęcz, ale to tak, że jeńców nie brali, i odtąd o Zagranach już nikt nie słyszał. Wiesz, tam, gdzie teraz szlak handlowy do Rowans idzie, tam mieszkali. Potem byli ci... to znaczy, jak już starszy byłem, około 715 roku... Nachodzicy... Z Nachodzicami było nielekkko, chłopcze.*

Uniosłem brwi. Chaotyczna opowieść ojca zadziwiła mnie. Nie wiedziałem, że przed Innejczykami toczyliśmy jakieś wojny.

– *Z tymi swoimi powykręcanyimi łukami doszli pod samą stolicę – ciągnął ojciec – Grasjanowi tron palił się pod dupą! Mało tego, wiesz, co zrobili? Kuzyn Hernik mi to mówił, bo brat jego teścia, co to na winnicach się tak dorobił, że hej... jego wspólnik tam miał dom... W każdym razie, słyszałem, jak zajadle stolica się bronila. Nachodzicy ze wściekłości gryźli swoje tarcze. Tacy dzicy byli, wyobraź sobie... Szczurze mordy takie mieli, pokryte szczecina, i zęby ostre jak sztylety. Oblężenie długo trwało, zapasy mieli już na wykończeniu. I kiedy nie dali rady którymś tam szturmem murów wziąć, wieśniaków wylapali z okolicznych wsi, lby im ucięli i z katapult walili nimi w miasto z tej wściekłości...*

– *Ojcze... – próbowałem mu przerwać, lecz nie słyszał mnie. Siedział zgarbiony, jego głowa wisiała coraz niżej nad stołem.*

– *Kolejni byli Cudzoziemici... chyba... Nie! – walnął ręką w stół – Najpierw Pozamirowie. Po Pozamirach Cudzoziemici, a dalej – wysączył resztę trunku z kielicha – Dalej to już chyba Innejczycy, albo... Nie, nie, jeszcze przed Pozamirami chyba ktoś był. Tak, taka krótka... Napływisze. Chłopy z widłami, a nie wojsko! – ojciec zacharczał, co miało chyba być śmiechem. – Roznieśli ich nasi i całą ziemię im zabrali. Tam na wschodzie, wiesz? Wszystko teraz nasze. Dolina Wyjca... bogate kopalnie... węgiel, żelazo... zło... zło... złoto... Tylko nasze...*

Głowa opadła ciężko i nic więcej już nie powiedział. Pomogłem mu zawlec się do łóżka, gdzie natychmiast zasnął w ubraniach.

---

*Czternasty czerwca 745 roku.*

Przyszli z samego rana. Nie zaczęliśmy jeszcze pracy, a już łomotali do naszych drzwi. Ojciec wciąż był otepiały po wczorajszym picciu, więc to ja poszedłem otworzyć. Wystarczył jeden rzut oka, by odgadnąć cel najścia. W jednej chwili spełniły się najgorsze obawy.

– *Nazywasz się Wento Rossen, chłopcze? – zapytał zwałisty mężczyzna z wąsami ubrany w kolczugę i szyszak. Strażnik miejski, najwyraźniej najwyższy stopniem spośród przybyłej trójki.*

Przyszli po nas.

Gdy ojciec próbował protestować, wąsaty strażnik odczytał mu pisemne zarządzenie hrabiego. Nie było z czym dyskutować. Od tego dnia bramy miały pozostać zamknięte do odwołania, a każdy zdrowy mężczyzna stawić się do obrony miasta. Wojna zapukała do naszych wrót.

Byli stanowczy i przygotowani na opór, o czym świadczyły zatknięte za pasami morgensterny, jak również beznamiętna rzeczowość w działaniach. Wszystko odbywało się według planu. Mnie i ojcu wręczyli po jednym jutowym worku do spakowania rzeczy. Jeden worek, nic ponadto nie mogliśmy ze sobą zabrać. Dali nam kwadrans, a gdy się pakowaliśmy, dyskretnie obserwowali. Chodziłem po domu jak pijany, oszołomiony wobec nagłych wydarzeń. Nawet nie potrafiłem myśleć, co będzie dalej, na to było za wcześnie.

Mój dobytek był skromny. Trochę ubrań, pieniądze oraz oczywiście ten dziennik z piórem i inkaustem. Strażnik z początku uprzedził, by nie zabierać żadnej broni, ale, korzystając z sekundy jego nieuwagi, udało mi się schować za paskiem nóż stolarski – smukłe prostokątne ostrze przypominające dłuto.

Na zewnątrz czekał już spory wóz z kolejnymi strażnikami, a na nim więcej podobnych nam wcielonych do obrony murów. To właśnie będziemy robić, walczyć o Mirrowing, pomyślałem, gdy ruszaliśmy. Jak to możliwe? Kto byłby na tyle szalony, by oblegać tak ufortyfikowane miasto? Nie mieliśmy tu wypchanego złotem skarbcza, ani bogatych złóż, zatem czego od nas chcieli?

Patrząc po twarzach pozostałych towarzyszy niedoli, zobaczyłem malujące się na nich te same wątpliwości.

---

*Piętnasty czerwca 745 roku.*

W miarę możliwości będę regularnie dokonywać wpisów. Nikt nie wie, kiedy i czy w ogóle nadejdzie wróg. Atmosfera w baraku, gdzie nas skoszarowano, jest niewesoła. Jest nas tu około pięćdziesięciu mężczyzn.

Już wczoraj zaczęliśmy szkolenie. Prowadził je sam hutman ratuszowy, Ronam Burgenbaum – krzepki, szeroki w barach, niewysoki mężczyzna. Powitał nas w zbroi, z przypasaną szablą. Pomimo jego niezbyt imponującego wzrostu, wszyscy natychmiast zamilkli, gdy zaczął mówić. Głos ma mocny, zahartowany latami wydawania rozkazów. Jak wyjaśnił, będziemy pomagać bronić murów przy wschodniej bramie, gdzie najprawdopodobniej nastąpi atak. Nikt z nas nie ma większego pojęcia o walce. Jesteśmy rzemieślnikami, handlarzami, robotnikami, a dwóch przyszło prosto z aresztu, gdzie trafili niedawno za próbę kradzieży. Nie ma czasu szkolić nas w fechtunku. Pod okiem hutmana mamy poznać jedynie podstawowe komendy niezbędne przy dowodzeniu obroną oraz nauczyć się, przynajmniej w podstawowym zakresie, strzelać z kuszy, która jest bronią prostą w obsłudze i skuteczną nawet przeciwko opancerzonemu przeciwnikowi.

*Jeszcze nikt nie przeszedł przez te mury. Słuchajcie się mnie, róbcie swoje, a przy odrobinie szczęścia wyjdziecie z tej awantury żywi* – zakończył przemowę stojący naprzeciw naszego dwuszeregu dowódca straży. Żadnego z nas w najmniejszym nawet stopniu nie uspokoili jego słowa.

---

*Szesnasty czerwca 745 roku.*

Idzie mi całkiem nieźle. Strzelając z kuszy do oddalonej o kilkanaście metrów drewnianej tarczy większość bełtów umieszczam blisko środka. Choć moje ręce przywykły do ciężkiej pracy, po kilkunastu

strzałach zaczyna brakować mi sił, by naciągnąć cięciwę. *Nie martw się, chłopcze, wątpliwe żebyś dożył oddania aż tylu* – rzekł do mnie dziś Kario Mittel i roześmiał się. Prowadzi gospodę niedaleko rynku, bywam czasem u niego. Jest trochę młodszy od mojego ojca, wysoki, niebieskooki z wydatnym brzuchem i przerzedzonymi nieco kręconymi włosami. Chyba tylko jemu jednemu wciąż jeszcze chce się żartować. Reszta z trudem ukrywa strach.

Strzelanie ćwiczymy na zamkniętym dziedzińcu, gdzie zazwyczaj szkoli się straż. Do jedynej bramy klucze ma hutman. Dziś koło południa chodził między szóstką strzelających wykrzykując komendy mające nadać odpowiednie tempo prowadzonemu ostrzałowi. Pierwszy od prawej stał Kurio, obok niego jeden z wypuszczonych złodziejasków imieniem Grabon, dalej dwóch mężczyzn, których nie znałem, mój ojciec i piekarz Fraggu. Ten ostatni ledwie nadązał, za co usłyszał kilka reprimend od hutmana.

Stałem parę metrów za Kariem czekając na swoją kolej. Ronam Burgenbaum był akurat przy nim i obserwował, jak celuje. Chwilę później wydał komendę i kusze wystrzeliły. Wszystkie oprócz jednej. Jeszcze nim wypuszczone bełty sięgnęły celu, Grabon odwrócił się i wymierzył swój, ciągle spoczywający w łożu broni, w pierś dowódcy straży.

– *Otwieraj bramę* – zażądał, a na dziedzińcu natychmiast zapadła napięta cisza.

Hutman uniósł brwi. Jeśli przestraszył się groźby, dobrze to urywał.

– *Wracaj do ćwiczeń, rekrucie* – odrzekł spokojnie.

Grabon wyszczerzył zęby jak pies, groźnie potrząsając kuszą.

– *Słuchaj się, bo sam wezmę klucz z twojego ścierwa.*

– *Dostałeś do odsiedzenia miesiąc aresztu za kradzież. Teraz jesteś żołnierzem, a próbę buntu karze się tu stryczkiem. Nie będę się z tobą patyczkował, synku, gdy zagraża nam nieprzyjacielska armia.*

– *Chuj mnie to obchodzi, chcę stąd wyjść!* – Grabon wrzasnął prosto w beznamiętną twarz hutmana.

– *I dokąd pójdziesz? Miasto jest zamknięte, a poza murami stoją Innejczycy.*

Uzbrojony mężczyzna zacisnął zęby zaskoczony oporem. Mnie zaś uderzyły słowa dowódcy straży. Czy rzeczywiście oddziały wroga dotarły już pod Mirrowing, a my nic o tym nie wiemy?

Grabon szturchnął kuszą pierś hutmana. Nie chroniła jej dziś zbroja. Z resztą, niewiele by pomogła przy strzale z takiej odległości, podobnie jak przypasana szabla; ta nawet w rękach najprzedniejszego fechmiestra nie byłaby szybsza od palca naciskającego dźwignię spustu.

– *Ruszaj do bramy* – wysyczał Grabon.

Jego rozbiegane oczy mierzyły się z nieruchomymi oczami hutmana. Palce przebiegały nerwowo po drewnianym łożu broni. On go zabije, pomyślałem przerażony. Dowódca straży uniósł dłoń.

– *Jak chcesz* – rzekł krótko.

Odwrócił się, idąc powoli we wskazanym kierunku z rękami na widoku. Grabon podążał krok w krok za

nim celując mu w plecy. Zaraz mieli przejść obok mnie.

– *Z drogi!* – zawołał Grabon.

Na ten krzyk wszyscy stojący w kolejce za mną rozpięchli się, mnie jednak sparaliżował strach. Zamarłem wpatrzony w nienaturalnie spokojne oblicze nadchodzącego hutmana, gdy mnie mijał.

– *Odsuń się, szczeniaku!*

Pomysł był nagły i nieprzemyślany. Właściwie, to moje ciało zadziało samo. Skoczyłem naprzód. Bez udziału woli ręka sięgnęła za pasek, wyszarpnęła ukryty tam stolarski nóż i chlasnęła niedbale po lewym ramieniu mężczyzny z kuszą. Grabon był niewymownie zdumiony. Chyba jeszcze nie dotarło do niego, co się stało, w emocjach nie zauważył nawet rozciętego rękawa koszuli i bezkrwawego, póki co, śladu po ostrzu. Wszystko to trwało krócej, niż dwa uderzenia serca, lecz wystarczyło, by śmiertelny grot wycelował teraz w moją pierś.

– *He... ?!* – bąknął Grabon i w tym momencie hutman znów odwrócił się ku niemu.

Na pół sekundy wcześniej, nim moich uszu dobiegł złowrogi syk zwalnianej cięciwy, zobaczyłem, jak lewa ręka Ronama Burgenbauma podbija w górę kuszę napastnika. Bełt, zamiast przebić na wylot moje ciało, ze świstem przemknął gdzieś ponad głową.

Grabona naprawdę zaskoczył taki obrót spraw albo miał tragicznie słaby refleks. W ślad za lewą ręką hutmana natychmiast podążyła prawa, wymierzając napastnikowi solidny sierpowy. Grabon stęknął, zatoczył się krok w tył, lecz nie padł. Nim doszedł do siebie, dowódca straży płynnym, wytrenowanym ruchem dobył szabli i uderzeniem płazem wybił mu kuszę z rąk. Role błyskawicznie się odwróciły, teraz to dotychczasowy napastnik stał z uniesionymi rękami.

– *I tak wracam do celi. Niepotrzebnie mnie pan fatygował stamtąd* – błysnął złośliwym uśmiechem.

Hutman uniósł brwi.

– *Do celi?* – zdziwił się. – *Trupy zazwyczaj trzymamy gdzie indziej.*

Sens tych słów nie zdążył jeszcze dotrzeć do adresata – najwyraźniej równie wolno myślał, co się ruszał – a już zakrzywiona stal krótkim młynkiem świsnęła w powietrzu. Tym razem krew pojawiła się natychmiast i leniwym strumykiem popłynęła z przeciętego gardła Grabona. Spłynęła przez palce, gdy dotknął rany. Obejrzał umazaną szkarłatem rękę z niedowierzaniem na twarzy, a potem zbladł gwałtownie. Czerwona smuga rozlewała się już po jego koszuli, kiedy zatoczył się do tyłu, aż uderzył biodrem w płótek wyznaczający linię strzelców. Tam, charcząc cicho, osunął się na kolana.

Hutman obserwował to bez śladu emocji.

– *Nie chcesz walczyć, to nie będziesz* – powiedział spokojnie. Popatrzył po skonsternowanych twarzach mężczyzn dookoła. – *Ktoś jeszcze chce się wypisać? Mamy tu jebaną wojnę, nie dociera to do was!? Są tylko dwie strony: my i oni, nie można od tego uciec! Dla mnie każdy, kto nie chce walczyć za to miasto i za tego króla, jest tylko kolejnym Innejczykiem. Gwiżdżę na to kim jest i gdzie się urodził. Wybór jest prosty: my albo oni. Rozumiemy się? MY ALBO ONI!*



Jego krzyk odbił się echem od murów dziedzińca. Potem było tylko słycać coraz słabsze rżenie Grabona.

– *Wy dwaj, uprzętnijcie to ścierwo!* – polecił stojącemu najbliżej Kario i jednemu z nieznanym mi mężczyz. Potem hutman spojrział na mnie. – *Niezły ruch, Rossen, może będą jeszcze z ciebie ludzie. Ale lepiej schowaj już tę kosę.* – z lekkim uśmiechem poklepał mnie po plecach.

Gdy wskazani mężczyźni – zbyt zszokowani, by protestować – wynieśli zakrwawionego trupa, jak gdyby nigdy nic Ronam Burgenbaum kazał nam wracać do ćwiczeń. Tego dnia nie strzelałem już tak celnie. Rozdygotane dłonie nie chciały mnie słycać, a przed oczami, zamiast tarczy, wciąż miałem strumyczek krwi wypływający z poderżniętego gardła.

---

*Dwudziesty czerwca 745 roku.*

Niewiele się dzieje, więc nie bardzo jest o czym pisać. Rekruci przestali już mówić o incydencie z Grabonem i popadli w jeszcze bardziej ponure nastroje. Tylko Kario niezmiennie trzymały się żarty, choć to on osobiście wynosił trupa.

Dalej strzelamy do celu. Bełtów mamy w bród. Zastanawia mnie, ile z nich wyszło spod mojej ręki. Dziwne, ale mam wrażenie, że to na mnie hutman zwraca szczególną uwagę obserwując ćwiczenia.

Oczekiwanie powoduje napięcie wzmagane rozchodzącymi się plotkami. Co jakiś czas ktoś oznajmia, że to "na pewno już", zaraz wezwą nas na mury. Nie to mnie martwi. Najgorsze są padające wtedy odpowiedzi, w miarę upływu czasu co raz bardziej oderwane od rzeczywistości.

Niektórzy nawet boją się zasypiać z obawy przed rogatymi istotami bez twarzy, które nocą wyjdą z mgły, by poderznąć nam gardła.

---

*Dwudziesty drugi czerwca 745 roku.*

Posiłki spożywamy w stołówce zaimprovizowanej w jednym z baraków. Ci, dla których nie starcza miejsca przy stole, siedzą przy beczkach albo skrzyniach. Kucharz przywozi nam obiad w wielkich garach na wózku. Dzisiaj, jak niemal zawsze, była to kasza z niewielkim kawałkiem mięsa, a do tego kubek wina. Właśnie kończyłem jeść, gdy do środka wszedł Ronam Burgenbaum. Od razu podszedł do mnie.

– *Zjadłeś, Rossen? Pozwól ze mną* – rzekł i ruszył na zewnątrz nie czekając na odpowiedź.

Wycierając twarz poszedłem za nim, odprowadzany zaniepokojonym spojrzeniem ojca. Gorączkowo myślałem, o co może chodzić, lecz nie śmiałem pytać. Hutman w milczeniu poprowadził mnie do bramy dziedzińca. Otworzył ją kluczem i oto pierwszy raz od ponad tygodnia wyszedłem stąd. Dalej nic nie mówiąc poszliśmy w kierunku bramy miejskiej.

Żołnierz pełniący służbę przy wejściu do baszty wymienił salutę z hutmanem i otworzył przed nami drzwi. Po pokonaniu kilku poziomów wąskich schodów znaleźliśmy się na szczycie barbakanu. Masywna

budowla z basztami po obu stronach miała kształt półkola wychodzącego poza linię murów, posiadała dwie kondygnacje, a wieńczyły ją blanki. Na dwóch poziomach pod nami widniały wąskie otwory, skąd obrońcy wylewać będą wrzątek i smołę na wojska szturmujące bramę.

Niewiele było widać na zewnątrz wysokich blanki, samo miasto zaś prezentowało się imponująco z tej wysokości. Dach fortyfikacji był szeroki i przestronny, cały nasz oddział zdołałby go obsadzić. Było już tu jednak kilku żołnierzy wypatrujących za mury. Zaniepokoił mnie ten widok.

– *Czy to tutaj będziemy walczyć, panie?* – zapytałem hutmana.

Stał wsparty pod bok prawą ręką, lewą zaś niedbale bujał schowaną w pochwie szablą. Popatrzył na mnie z lekkim uśmiechem.

– *Podejdź do blanki, chłopcze* – odrzekł.

Zrobiłem, jak kazał. Wciąż niewiele widziałem, gdyż nie jestem imponującego wzrostu. Hutman kiwnięciem głowy polecił mi, bym wszedł na wąski chodnik dla strzelców. Wtedy dopiero wyjrzałem i zamarłem z trwogi.

Co ja tu robię? – pomyślałem sobie nie wierząc własnym oczom. Szaleństwo! Czysty obłąd.

– *Inaczej sobie to wyobrażałeś, Rossen?*

Nawet nie zauważyłem, kiedy dowódca straży dołączył do mnie. Mrużąc oczy przed słońcem uważnie patrzył na to, co działo się na przedpolach miasta. Wydawał się wcale nie zaskoczony, gotowy stawić czoła nieuchronnie nadciągającej przyszłości. Ja zupełnie odwrotnie. Czułem się, jakbym stał tuż nad przepaścią z nogą uniesioną, by dać krok naprzód.

– *Ja...* – bąknąłem.

– *Widzisz tam, po lewej?* – wskazał palcem hutman. – *Budują wieże oblężnicze. Trochę im to jeszcze zajmie.*

Popatrzyłem we wskazane miejsce. Moje oczy błędziły chaotycznie; widziały doskonale setki rozłożonych namiotów, dziesiątki wozów, masę ludzi z tej odległości wyglądających jak biegające mrówki, a mimo to nie potrafiłem im uwierzyć. Jakby wyrastało tu nowe miasto! Wsie na wchodzie płonęły. Słupy dymu były złowrogimi znakami kierunku, z którego nadeszli najeźdźcy. Wszędzie powiewały wrogie szandary.

– *Czego... oni chcą?* – zapytałem głupio. Hutman popatrzył na mnie w milczeniu. – *Po co to wszystko? Dlaczego przyszli do Mirrowing?*

Wzruszył ramionami.

– *Kiedy podejda pod te mury, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Politykę zostaw innym, myśl lepiej o sobie.*

– *Mówił pan, że wyjdziemy z tego żywi* – głos drżał mi mimowolnie. – *Jest ich tak wielu...*

– *A myślałeś, że ilu będzie? Są przygotowani na długie oblężenie. Dobrze zaplanowali wyprawę. Nim nadejdzie odsiecz dla hrabiego, uderzą.*

Nie wiedziałem, co na to odrzec. Widok okolic miasta, zajętych teraz przez hordę nieprzyjaciół, ciągle był dla mnie czymś nierzeczywistym.

– *Pewnie ciekawi cię, dlaczego tu przyszliśmy – ciągnął hutman – po co mówię ci to wszystko. Chciałem, byś zobaczył na własne oczy, Rossen, nie oczami wyobraźni ludzonymi przez podniosłe opowieści o wielkich bitwach. Niewątpliwie słyszałeś ich sporo od różnych bajkopisarzy w karczmach, co to nawet nie wiedzą z której strony miecz chwycić. Zapomnij o tym. Prawdziwa wojna wygląda właśnie tak.*

Szerokim gestem wskazał obozowiska Innejczyków.

– *Całe ich mrowie. Uderzą w te mury jak... wezbrana fala* – powiedziałem, chyba znów nieco głupio.

Powiał lekki wiatr niosąc do naszych uszu odległe dźwięki pił i młotków oraz niewyraźne krzyki. Ronam Burgenbaum smakował je przez chwilę.

– *Ciekawe porównanie* – pokiwał głową. – *Byłeś kiedyś nad morzem?*

– *Nie, panie.*

– *To bezkres wód, bez porównania do tutejszej rzeki Lowine. Ciągnie się aż po horyzont. Czasem jest gładkie jak stół, ospale, leniwie pieści brzeg. Wydaje się, że można przejść po nim, tak jest nieruchome, dotrzeć do odległych lądów po drugiej stronie. Ale czasem morze ogarnia wściekłość. Ciska falami z autentyczną furią. Kiedyś widziałem nieostrożnych młodziaków, którzy wypłynęli na połów. Złapał ich nagły sztorm. Roztrzaskał ich łódź o kamienisty brzeg, jakby była dziecięcą zabawką wystruganą z kawałka drewna. Takie potrafią być fale: mogą wynieść swą siłą na pełne morze, jeśli potrafisz je ujarzmić, albo cisnąć o skały, gdy zastaną cię nieprzygotowanego – uśmiechnął się lekko, nie wiem, czy do mnie, czy do swoich wspomnień. – Nie patrz tak na mnie, chłopcze. Bywałem trochę w świecie i chcę ci powiedzieć, że to nie wstyd się bać. Ci, którzy niczego się nie boją zazwyczaj nie żyją zbyt długo.*

Kiwnąłem potakująco głową uspokojony nieco, że nie wziął mnie za totalnego tchórza.

– *Zaimponowałeś mi tą akcją z nożem, Rossen* – mówił dalej – *Nieco niezdarnie, bo walczyć to ty nie umiesz, ale zrobiłeś co słuszne. To dobry znak: działać pomimo strachu.*

– *Mój ojciec powiedział, że to było głupie. Mogłem zginąć.*

– *Mogłeś, jak każdy, kto dobywa oręża. Ale bardziej głupie było niedbalstwo moich ludzi, dzięki któremu przemyciłeś nóż. Wywalilibym ich na zbity łeb, gdyby nie to, że potrzebna nam będzie teraz każda para rąk. Co najgorsze, partactwo dotyczy działań całego miasta. Sam widzisz, jaki tu mamy chaos. Gdyby to ode mnie zależało, zaczęlibyście szkolenie już dwa lata wcześniej.*

Zdumiały mnie te słowa. Przecież przed dwoma laty nikt tu szczególnie nie przejmował się Innejczykami! Cała ta przemowa zazwyczaj małomównego hutmana była równie zastanawiająca.

Westchnął, podrapał się po ogolonym podbródku i kontynuował:

– *Nie mnie, prostemu żołnierzowi, takie sprawy oceniać. Tak jest najlepiej, Rossen, uwierz mi. Swoje myśleć w ciszy, lecz nie zadawać pytań. Tylko bić, kiedy trzeba.*

– *Nie umiem się bić, panie. Jestem stolarzem, nie żołnierzem* – powiedziałem.

Nieoczekiwanie Ronam Burgenbaum zaśmiał się.

– *I co z tego? Gdzie jest napisane, że musisz nim być do śmierci?* – popatrzył na mnie ubawiony. – *Nie uwierzysz, chłopcze, co robiłem będąc w twoim wieku. Myślisz, że urodziłem się w zbroi? Ha! Jako dzieciak z kijem w ręku, bosą ganiałem owce na wyżynach Goblethills, a gdy naszą osadę łupiły rozbójnicze bandy, przymierałem głodem.*

Rzeczywiście, trudno było w to uwierzyć. Dowódca straży wielkiego miasta miałby być pastuchem? Musiał wyczytać te wątpliwości z mojej twarzy.

– *Tak właśnie dorastałem: w wiejskiej nędzy, ciężko pracując i żyjąc nadzieją, że nikt nie zagrabi skromnych owoców tej pracy. Ciebie, urodzonego w mieście, nawet nie wiesz, jaką łaską obdarzył los. Chłopi nie mają wysokich murów, za którymi mogą znaleźć schronienie, ani uzbrojonej straży, a żołnierze pana nie zawsze są na miejscu. Rozbójnicy brali jak swoje: żywność, bydło, nawet kobiety. Brali nie raz, nigdy nie było wiadomo, kiedy przyjdą. Po jakimś czasie każdy z mieszkańców drżał na sam dźwięk końskich kopyt. To bardzo niedobrze, tacy ludzie są jak wilki, od razu wyczuwają strach. Wiesz, co się wtedy dzieje?*

Zaprzeciłem ruchem głowy. Hutman uśmiechnął się, jakby utwierdzony w swym poglądzie o mieszczanach nieznających niebezpieczeństw spoza murów.

– *Dla nich to zaproszenie, zachęta, by byli jeszcze bardziej bezczelni. Nie mogłem patrzeć na odbierany z taką łatwością dorobek ciężkiej pracy, na podrzynane gardła tych, którzy choćby pomyśleli o oporze, na gwałcone po środku wsi kobiety tak, by wszyscy to widzieli. Lękałem się, Rossen, nie mniej niż ty teraz. Ale z każdą wizytą łupieżców czułem także coraz większy gniew. Zrozumiałem, że nasza bierność, zamiast odegnać, zwiększała zagrożenie.*

– *I co pan zrobił?* – zapytałem zafascynowany.

– *Postawiłem się. Ja i inni, którzy mieli już dość. Widzisz, chłopcze, pasterski kij służy do poganiania owiec, ale można też nim gruchotać kości. Nie mieliśmy broni z prawdziwego zdarzenia, ani bojowego przeszkolenia, ale było nas więcej i byliśmy wściekli. To wystarczyło. Musiałbyś zobaczyć miny zbójców, rozochoconych naszym dotychczasowym strachem, jak uchodzili z podkulonymi ogonami. Nie chciałbyś za to zobaczyć tych, co ująć nie zdołali.* – hutman zaśmiał się. – *Wtedy nasz pan zauważył mnie. Przyjął na służbę, odział, wyszkolił. Odtąd służyłem mu swym mieczem. Ja, pastuch, zostałem wojownikiem.*

– *A jak trafił pan do miasta?*

– *Przez pola bitew, chłopcze. Gdzie mój pan ruszał do boju na wezwanie króla, tam byłem i ja. Po latach służby w nagrodę dał mi kawałek ziemi. Nie mogłem jednak spokojnie osiąść, krótko potem Napływisze pojawili się na wschodzie. Szli przez moje włości, tam poznałem pana hrabiego. Ramię w ramię walczyliśmy o Dolinie Wyjca, a gdy pokonaliśmy wroga, wróciłem z nim do Mirrowing. Tak na fali losu dopłynąłem tutaj.*

Niesamowite, pomyślałem. Dotychczas miałem Ronama Burgenbauma za kolejnego bezwzględnego żołdaka, który dochrapał się posady łupiąc biedotę z podgrodzia. Nie od dziś wszak wiadome było, jakich czynów dopuszczają się czasem miejscy strażnicy przy cichej akceptacji władz.

– *Przypatrz się im, Rossen, popatrz dobrze. Oto nadchodzi kolejna fala* – znów wskazał na stacjonujące wojska. – *Może teraz odczuwasz tylko przytłaczające zagrożenie, ale to od ciebie zależy, czy dosiędziesz jej, jak wierzchowca, i pomkniesz w dal niesiony jej siłą, czy też zostaniesz zmiażdżony impetem. Wojna jest jak wściekła morska fala.*

Ja, słaby dzieciak stolarza, miałem szukać szczęścia w wojaczce? Omal nie roześmiałem się na tę myśl. Jedyne, co widziałem w wyobraźni, to dziki chaos walki, który wybuchnie tu lada dzień. Szczerze wątpiłem, czy uda mi się z niego ująć z życiem. Chyba wtedy dotarła do mnie nieuchronność losu uosabiana przez oblegającą nas armię. Gdy nie ma ucieczki – a nie zamierzałem iść w ślady Grabona – jedynym, co można zrobić, jest pogodzenie się z nim.

Staliśmy na murach milcząc. W ten piękny czerwcowy dzień ciepły wiatr mierzwił mi włosy, lecz nie zdołał odegnać ponurych myśli. Nagle zauważyłem nadjeżdżający w stronę obozu Innejczyków oddział zbrojnych. Jechali od wschodu, kilkunastu konnych, a w popołudniowym słońcu ich rogate hełmy z maskami lśniły złowrogo.

– *Bez twarzy...* – wyrwało mi się na ten widok.

– *Co mówileś, chłopcze?*

Odchrząknąłem zawstydzony. Ucieszyło mnie uznanie hutmana. Nie chciałem, by zmienił o mnie zdanie i zaczął uważać za wierzącego w gusła maminsynka.

– *Wie pan, niektórzy mówią, że... Innejczycy nie są... ludźmi* – wybąkałem.

Ronam Burgenbaum przyjrzał mi się, a potem znów skierował oczy w stronę wroga. Wcale nie wyglądał na zdziwionego, ani rozczarowanego.

– *Ludzie mówią różne rzeczy. Niektórzy sami od siebie, ze strachu lub z powodu bujnej wyobraźni; inni powtarzają, co słyszeli. Wiesz, Wento – pierwszy raz zwrócił się do mnie po imieniu – jeździłem nieco po kraju i nieraz słyszałem takie opowieści. O każdym z obcych ludów tak mówią. A to, że mają pazury jak brzytwy, a to, że zjadają zmarłych, spółkują z wilkami albo piją krew dzieci.*

Na te słowa przypomniały mi się opowieści pijanego ojca. Kolejni wrogowie królestwa zawsze mieli jakieś szkaradne przymioty.

– *Te historie roznoszą się wśród ludzi jak zaraza* – ciągnął hutman. – *Czasem nawet mam wrażenie, że to ktoś je...* – urwał i pokręcił głową. Potem niespodziewanie dobył szabli.

Gdy niemal podskoczyłem na dźwięk obnażanej klingi, zdałem sobie dopiero sprawę, jak bardzo napięte miałem nerwy. Niemal jak moja kusza tuż przed strzałem.

W zakrzywionym ostrzu odbiły się promienie słoneczne.

– *Zobaczysz to wkrótce na własne oczy, póki co uwierz mi na słowo* – rzekł prezentując broń. – *Kimkol-*

*wiek by nie byli: ludźmi, zwierzętami, straszidłami... zaręczam ci, że nie spotkałem jeszcze nikogo, kto miałby skórę zdolną zatrzymać cię ostrą stalą. Każdy umrze, chłopcze. Czy to od wieku, od choroby, od wina, od głupoty... czy od beltu z kuszy – z uśmiechem poklepał mnie po plecach.*

W drodze powrotnej na dziedziniec straży zakazał mi mówić innym o sytuacji na przedpolach. Zastanawiam się, dlaczego to mnie zdradził tajemnicę, jaki miał w tym cel? I tak lada dzień wszystko stanie się jasne. Wieczorem, pisząc te słowa, próbuję zrozumieć, co tak naprawdę mi powiedział, lecz myśli mąci mi wspomnienie widoku z murów miasta.

Hutman nic więcej nie zdradził, a po powrocie do naszego baraku bez śladu zniknęła jego poufałość. Znow był chłodny i rzeczowy jak zawsze.

---

Dwudziesty trzeci czerwca 745 roku.

Zgodnie z obietnicą nic nikomu nie powiedziałem. Zełgałem, że hutman kazał mi złożyć zeznania w sprawie śmierci Grabona, byłem przecież uczestnikiem zajścia. Inni rekruci to kupili, ojciec nie. Tak, nawet jemu nie wyjawilem prawdy. Sam pozna ją już niedługo.

Najgorsze jest teraz oczekiwanie. Ledwo mogę skupić myśli do napisania tych kilku słów. Strach trzyma mnie za gardło, ale wolałbym, żeby atak już nastąpił. Jak by miało nie być, niech się to wreszcie rozstrzygnie. Wszystko lepsze od nerwowego czekania.

---

Dwudziesty szósty czerwca 745 roku.

Przy każdym kroku niedopasowany hełm kołysze się na mojej głowie. Lepszy taki, niż żaden, przynajmniej jakaś stal. Kolczug nie dostaliśmy, tylko grube skórznie. Według Kario dzięki temu będziemy lepiej prezentowali się po śmierci; miasto wspaniałomyślnie zadbało aby Innejczycy, jak już wejdą na mury, nie podusili się ze śmiechu na widok trucheł – każdego w innych łachmanach – bohaterów z wystawionego do obrony pospolitego ruszenia. Chociaż tyle, bo ochrony nie zapewnia to żadnej. Jedyne pocimy się nie-miłosiernie w czerwcowym słońcu.

Stojąc wśród blanek barbakanu z bronią pod ręką nasz oddział jest jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Strach unosi się w ciepłym powietrzu wraz z zapachem smoły gotowej do wylania na śmiałków, którzy podejną pod bramę. A pierwsi z nich podejną wkrótce. Na przedpolach wyrosły już ponure sylwetki wież oblężniczych. Zdają się nie mieć końca oddziały gotujących się do wyjścia w pole wojowników. Gdy piszę te słowa, szkarłatne słońce chowa się gdzieś za horyzont. Jutro przypuszczą szturm, nie mam co do tego wątpliwości. Próbuję cieszyć się tym spokojnym wieczorem. Następny może zastać mnie już stygnącego wraz z innymi trupami na dachu barbakanu. Co by nie było, jutro wstanie najważniejszy dzień w moim życiu.

Zastanawiam się dlaczego nie posłuchałem ojca i nie uciekłem póki był ku temu czas. Nie mam nic wspólnego z tą wojną. Po co to wszystko? Po to całe życie uczyłem się zawodu, pracowałem i zażywałem skromnych rozrywek, by teraz zdechnąć tu jak pies? W imię czego? Nie chcę walczyć, nawet nie wiem kim w istocie są moi wrogowie.

Ochota, by cisnąć o ziemię kuszę razem z tym idiotycznym hełmem przysła mi nagle i równie nagle odeszła. Już nawet wstałem gotów uciekać byle gdzie, przed siebie, jak najdalej. Parę metrów dalej ujrzałem Ronama Burgenbauma stojącego z dwoma żołnierzami. Był pogrążony w rozmowie, lecz dostrzegł moje spojrzenie. Przypomniałem sobie, jak wtedy zamyślony przyglądał się wojskom Innejczyków i opowiadał o sobie. Dziś jego oczy były równie pozbawione wątpliwości. Był tam, gdzie być powinien. Hutman skinął mi głową, a potem wrócił do tłumaczenia czegoś podwładnym. Ja zaś usiadłem zrezygnowany. Szkoda, że nie ma tu ojca – został przesunięty gdzie indziej wraz z częścią oddziału.

Nie tylko mnie puszczały nerwy. Uchodzący dotychczas za milczka piekarz Fraggu – ten, który nie bardzo radził sobie na ćwiczeniach strzeleckich – począł gadać jak najęty. Był niezgrabny, przyciężkawy, z gęstymi rozczochranymi włosami i brodą. Garbił się, co zostało mu, jak mówi Kario, od ciągłego zagładania do pieca. Łaził niespokojnie to tu, to tam, trzymając w ręku swój szyszak, aż wreszcie przyuważył mnie i Karia.

– *Kurewski pech, no po prostu! Wyobrażasz sobie, synu? Po nas już nic, a my tego nie doczekamy! Bo chyba nie uważasz, że przeżyjesz ten młyn?* – zagał chaotycznie.

– *Ty na pewno nie, jak będziesz się tak miotał. Nie trzeba tu nawet Innejczyka, by ci serce zatrzymał, sam je zajedziesz jak kobyłę* – mruknął Kario.

– *Nie słyszałeś, co mówią?* – ciągnął nieczuły na kpinę Fraggu. Siedzieliśmy na chodniku pod blankami zwrócenia w stronę miasta, a on stał nad nami gestykulując energicznie – *Zostaliśmy sami, nie będzie żadnej odsieczy! Nikt nie przyjdzie.*

– *Skąd to wiesz?* – zapytałem.

– *Jest tu jeden ze strażników, co pilnował ratusza. Pamiętacie, kiedy zamknęli ratusz? Podobno dzień wcześniej hrabia obradował z radą. Wszystko padło!*

Kario wzruszył tylko ramionami.

– *Jak to, wszystko?* – nie zrozumiałem.

Fraggu jeszcze bardziej się podniecił, aż doleciały mnie kropelki jego śliny.

– *Chłopie, no mówię wszystko, cały wschód! Od jebanej Doliny Wyjca, przez Krzyżową Przełęcz, twierdze w Hallenwall, most na Lowine, aż po te mury. Rogaci przeszli jak wściekli!*

W zasadzie było to oczywiste. Armia stała tutaj, zatem musieli przejść przez wszystkie te miejsca. Mimo to uderzyła mnie skala tego konfliktu.

– *Do Rowans nie ciągną* – piekarz w zamyśleniu podrapał się po gęstej brodzie, wyprostował plecy, jakby chcąc przydać powagi słowom. – *Szliby dalej, gdyby chcieli, a ci nic. Tutaj wieże stawiają.*

Przypomniał mi się podróżnik z Kompanii Górniczej. Jak dobrze byłoby być teraz na jego miejscu.

– *Zaleją nas* – ciągnął Fraggu – *zaleją jak Lowine po letnich ulewach. Patrzcie no, ile ich tu, więcej niż karaczanów w mojej piwnicy. A nas?!* – parsknął krótko. – *Może sobie pan dowódca wypinać pierś i wrzeszczeć rozkazy do zdarcia gardła, jutro kamień na kamieniu nie zostanie z tego grajdołu! Rozumiesz,*

*synku? Przeleć po nas jak szarańcza po polu! Pyrkać tą kuszą ile chcesz, choćbyś nawet ich dziesięć tuzinów ustrzelił, małą to robi różnicę.*

Kario westchnął.

*– To tyś jest ważna persona, mości piekarzu, skoro tyle wiesz. Wykop stąd tego kurdupła z szablą, sam nas poprowadź!*

*– Ale przecież hutman mówił... – wyrwało mi się w emocjach. Na szczęście nie usłyszeli, zagadnięty tym razem zareagował na docinki.*

*– Nawet ja widzę, że to wszystko gówno warte! Gdybyś zajmował się czymś donioślejszym niż rozlewanie bełtu do kufli, też byś nieco pojął, Mittel. Skurwysyny nam nie popuszczą, przeszli by do tej bramy i przez gwardię samego Grasjana w towarzystwie doborowej jazdy.*

*– A jakże! Zamienią się w mgłę i przylecą z wiatrem. Słyszę to od miesięcy, spóźniłeś się nieco ze swoimi rewelacjami.*

*– Tyle słyszysz, co ci opoje wybełkoczą zza szynkwasu! Hrabia wiedział, co się święci i dziadyga nie tracił czasu, jeno dał nogę. Ja to mu się nawet nie dziwię. Nie chciałbym być w jego skórze, gdy to tałatajstwo wleje się nam na ulice.*

Kario skoczył na równe nogi wyprężony na baczność.

*– Nic to! – zawołał. – Dzielni nasi obrońcy pobiją wroga, nasz pan może spać spokojnie. Jakiż to miecz zdołałby wszak przebić tak wyborny pancerz? – wypiąwszy pierś wskazał na swą skórnię, a potem wymierzył groźnie niezaładowaną kuszę – Któż oparłby się takiemu orężu w bieglących rękach stolarzy, handlarzy, zdunów i oberżystów?! Naprzód! Prać rogate zjawy!*

*– Do tej pory nikomu nie udało się sforsować tych murów – powiedziałem ignorując błazenadę. Czasem żarty Karia bywały męczące.*

Fraggu uniósł gęste brwi.

*– Taa? A skąd to wiesz, synu?*

Zawahałem się z odpowiedzią. No właśnie, skąd? Ludzie zawsze tak mówili, sam hutman powtarzał nam te słowa. Prawdę mówiąc nigdy nie interesowały mnie szczegółowe dzieje miasta. Królestwa również. Wiedziałem tyle, co usłyszałem od innych, nie czułem potrzeby pogłębienia swej wiedzy. Pewnie dlatego zaskoczyły mnie słowa ojca o wojnie.

*– Raz zróbcie wyjątek i pomyślcie trochę – kontynuował piekarz. – Złotem tu nie sramy, węgla w ziemi ze świecą szukać, gleby rodzą średniawo, o handlu takim, jak w Rowans pomarzyć możemy. Zwierzyna w lasach pospolita, rzemieślnicy nie lepsi niż w stu innych miastach, nawet za kobiety nikt by się tu nie dał pociąć.*

*– Chyba za swoją! – wtrącił Kario.*

*– Dawna chwała Mirrowing uleciała jeszcze za panowania Rogualda. No powiedzże sam, Mittel, po cóż*



*tu napadać? Co lepsze w tej części kraju rogaci już wzięli, może poza Rowans. Siła ludu, oręża od trzęsienia, parę lat bitew i mozolnego marszu, wszystko żeby podbić ten burdel? Po co, ja się pytam!*

*– Wytrzymaj jakoś do rana, to zapytasz ich sam, skoro takiś ciekawy. Może popełnią ten błąd i wezmą cię do niewoli, wtedy zatrujesz im do cna dupy swym gadaniem. Nam już, z łaskowości swojej, oszczędź tego.*

Uśmiechnięty chytrze Fraggu wyraźnie nie miał takiego zamiaru. Swoje pytania zadał nam tylko po to, żeby teraz samemu udzielić na nie odpowiedzi.

*– Takich właśnie potrzeba w tym mieście. Świetnie tu pasujesz, Mittel! Nie zadajesz pytań, nie rozmyślasz zbyt wiele, tykasz, co tylko mówią i płacisz, ile tylko każą. Czy naprawdę tylko mnie jednemu się zdarza czasem jakiś namysł poczynić? – popatrzył nagle na mnie zdziwiony. Chyba zdążył zapomnieć, że wciąż tu siedzę. – Ty, Rossen, młody jesteś, może zrozumiesz. Parę lat już ta awantura trwa. Rogaci od początku nie chcieli się układać, za każdym razem gonili Grasjanowych posłów. Wiesz dlaczego?*

Wzruszyłem ramionami. Był tak podekscytowany, że, co bym nie odpowiedział, i tak by gadał dalej.

*– Widzisz, synu, zwyczajowo napada się, i owszem, by zagarnąć co nieco, jest wszak co rabować w kraju. Oni to mają za nic, ot co! Król nie mógł im dać, czego chcieli, bo rzecz nie szła o ziemię ani złoto. Nie ma takiej kontrybucji, która by rogatych splaciła! No bo jakbym ci, dajmy na to, matkę zabił, ile byś zażądał zadośćuczynienia, he? Wściekłością dyszą, nie żądzą mamony, naszej krwi im trzeba, nie dobytku. Idą jak po swoje, po swoje własne, mówię, jakby odzy...*

*– Gdzie twój hełm, żołnierzu? –* chłodny głos hutmana przerwał w pół słowa wywód piekarza. Próbowalem dyskretnie zwrócić jego uwagę na przechodzącego nieopodal dowódcę straży, lecz zbyt zapamiętale gadał.

Fraggu wzdrygnął się zaskoczony reprimendą. Natychmiast przypomniał sobie o nakryciu głowy. Ronam Burgenbaum zmierzył go surowym spojrzeniem. Dziś włożył pełną zbroję z lśniącym napierśnikiem i garnckowym hełmem. Dumnie wyprostowany, z nieodzowną szablą u pasa, prezentował się nienaganie. Nim odszedł, zerknął jeszcze na mnie. Wyraz jego twarzy był nieodgadniony.

*– Jasnie pan to w byle czym nie wyjdzie. Nas tylko, łajza, w szmaty odział... –* mruknął Fraggu po upewnieniu się, że hutman już go nie usłyszy.

*– Było ci zabrać z domu najlepszą swą koszulę, albowiem tak zwyczaj nakazuje truposzy chować –* Kario wstał, poklepał mnie po ramieniu i odszedł, widocznie znudzony już rozmową.

*– A idź, ty... –* piekarz machnął za nim ręką. Mówiąc dalej do mnie, spoważniał – *Jesteśmy ostatni, Rossen, rozumiesz? Przyszli tu właśnie po nas. Wkrótce nie będzie już wojny, skończy się to szaleństwo w kraju, bo rogaci dopną swego. Szkoda tylko, do chuja pańskiego, że nie doczekamy...*

Nagle nad barbakanem rozbrzmiał donośny głos hutmana.

*– Synowie Mirrowing! –* zawołał dowódca straży. Ponownie zadziwiła mnie łatwość, z jaką wzbudzał posłuch. Szemrzące wkoło głosy stopniowo umilkły, krzątania została wstrzymana.

Ronam Burgenbaum rozejrzał się stojąc pośrodku szerokiego dachu barbakanu. Pokiwał głową smakując napływającą ciszę, a potem przerwał ją.

– *Dzielni synowie Mirrowing, żołnierze w służbie naszego pana, mieszkańcy tej ziemi! Do was zwracam się w tej godzinie, gdy wróg zawitał do naszych bram.*

Wszyscy słuchali uważnie, nawet Fraggu. Pełne napięcia twarze wpatrywały się w mówiącego.

– *Chcę, byście wiedzieli, że dostrzegam waszą niepewność. Wiem, co myślicie. Wkrótce przyjdzie nam stoczyć tu bój, z którego wielu z nas może nie ujść z życiem. Taki to już los sięgających po oręż. Strach nieobcy jest wojownikom, a nimi wszak jesteśmy, i sam zelgałbym, gdybym powiedział, że się nie boję. Lęk przed śmiercią odczuwa każdy człowiek, lecz nie każdy ma w sobie poczucie obowiązku. My, moi towarzysze broni, to poczucie mamy i dlatego stajemy dziś dumnie na tych murach!*

Ostatnie zdanie niemal wykrzyczał. Słowa zawisły w ciszy, nikt nawet nie pisnął. Zacząłem się zastanawiać, czy nie doleciały aż do uszu Innejczyków.

– *Żyjemy tu wśród bezpiecznych ulic – ciągnął spuściwszy z tonu – w spokoju i dostatku dzielimy ziemię naszych ojców. Tu są nasze kobiety w zbudowanych ciężką pracą domostwach, tu będą żyły nasze dzieci. Mirrowing to my! Nasza historia, nasze życie i nasza przyszłość. Wszyscy odpowiadamy dzisiaj na wezwanie, bo oto nieprzyjaciół przybył nam odebrać nasz najcenniejszy skarb. Odczuwamy trwogę, nie wahajmy się tego przyznać, bo zagrażają nam ostrza ich mieczy i włócznie. Lecz nie tylko w nas mierzą! Powiadam wam: każdy, kto podnosi rękę na mieszkańców tego miasta, podnosi ją też, a może przede wszystkim, na naszych przodków, którzy je budowali, nasze matki, z których łon przyszliśmy na świat i nasze dzieci, przyszłość wykuwaną w codziennej pracy. I z tego miejsca przysięgam wam, towarzysze – nagle dobył szabli – że własnoręcznie każdemu, kto poważy się zamachu na te skarby dokonać, rękę tę od-rąbię!*

Dwóch żołnierzy zaczęło klaskać, kilku kolejnych zaraz poszło w ich ślady. Zaważyłem, że byli to ci, z którymi hutman rozmawiał, kiedy naszła mnie chęć ucieczki.

– *Jutro wydamy wrogowi bitwę! I choćby nie wiem jak wielka nawała uderzyła, choćby nie wiem ile było wrogich mieczy, będziemy stać mężnie na straży tych murów, aż ostatni z psich synów Innejczyków szczeźnie u ich stóp dławiąc się własną krwią!*

Aplauz wzniosł się w powietrze wraz ze stałą w rękę hutmana. Bojowy wrzask popłynął naraz z dziesiątek gardeł, włócznie, miecze i kusze powstały niby las. Najgłośniej krzyczała wspomniana dwójka zarażając wszystkich dokoła entuzjazmem. Patrząc tak na Ronama Burgenbauma, gdy stał w promieniach gasnącego słońca odziany w stal z uniesioną dumnie bronią, bez choćby cienia wątpliwości na twarzy, ponownie zazdrościłem, będąc teraz już pewny, że nigdy nie stanę się podobny jemu.

Nawet jeśli kiedykolwiek jeszcze będę miał ku temu okazję.

---

*Dwudziesty siódmy czerwca 745 roku.*

Choć trudno pisze się przy pojedynczej świecy, nie odważę się zapalić więcej. Ręce mi dygoczą, ledwo potrafię odczytać własne pismo. Każdy hałas na zewnątrz przyprawia mnie o nerwowy podskok. Po prawdzie sam nie wiem, po co wciąż to robię. Wszystko straciło sens, jedynie zajmuję czymś myśli, czekając w ukryciu na koniec tego szaleństwa taki, czy inny. Tylko co potem? Nie mam siły myśleć o przy-

szłości, lepiej skupię się na tym, co było.

Gdy piszę te słowa jest już dwudziesty ósmy czerwca. Postaram się, chociaż skrótowo, opisać ostatnie wydarzenia. Muszę się spieszyć, w każdej chwili ktoś może tu wejść i...

W dzień szturm Innejczyków zbudzono mnie z niespokojnego snu wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca. Nocą nie odpocząłem ani trochę, budziłem się co chwilę z wywołanych trwogą koszmarów. Kazano nam już obsadzać wskazane stanowiska. Hutman dzień wcześniej podzielił nas na trójki: dwóch zbrojnych i kusznik; w półmroku poranka jeden przy drugim zespoły zapełniły blanki barbakanu nad bramą.

Moimi towarzyszami broni zostali dwaj żołnierze: Gwidos i Witord. Niknąłem przy ich solidnych sylwetkach podkreślanych dodatkowo ciężkimi kolczugami. Każdy zbrojny został wyposażony w łuk, przy chodniku strzeleckim stały długie halabardy przeznaczone do walki z wdrapującymi się na drabiny, zapasowe kołczany strzał, tarcze oraz przeróżny oręż do walki w zwarciu, jak również stopy kamieni gotowe do ciskania na głowy atakujących.

Wyjrawszy zza blanek moim oczu ukazał się blask dziesiątek ognisk na przedpolach. Innejczycy formowali już szeregi, słychać było odległe pokrzykiwanie dowódców. Atakujących nie sposób było zliczyć. Równe czworoboki oddziałów przypominały figury porostawiane na planszy. Zbliżali się, jeszcze nie do szturm, wieże wciąż stały nieruchomo. W promieniach porannego słońca ujrzałem po raz pierwszy tych chcących mojej śmierci ludzi. Prawdę powiedziawszy nie wyglądali na bestie ani krwiożercze istoty z mgły. Nie wszyscy mieli na twarzach stalowe maski. Byli podobnymi nam zwyczajnymi ludźmi, których obowiązek przywiódł na pole bitwy, podobnie śmiertelnymi i, tak przypuszczam, podobnie przeżonymi. Widziałem szeregi łuczników, ciężkozbrojnych piechurów, sztandary, drabiny i powleczone skórą drewniane barykady mające chronić przed ostrzałem. Nie zamierzali czekać, brać nas głodem, ani robić podkopów. Ich celem było wdrzeć się do miasta siłą. Nad murami zagrzmiął dźwięk rogu.

– *Wszyscy na stanowiska!* – wykrzyknął hutman. – *Gotujcie się do bitwy, towarzysze. Za króla Grasjana! Za Mirrowing!*

Chwilę później ruszyły pchane przez dziesiątki mężów wieże oblężnicze.

– *Pierwej wal do nich, chłopcze* – rzekł Witord dostrzegłszy gdzie patrzę. – *Nie możemy im pozwolić dotaszczyć tego ustrojstwa pod mury.*

– *Strzelcy, czekać! Niech podejda jeszcze* – padła komenda.

Zupełnie tacy jak my, pomyślałem ze zdziwieniem. Żadnych kłów, pazurów, szcurzych psyków. Równie dobrze my sami moglibyśmy maszerować teraz w tych szeregach.

Cztery potężne konstrukcje z drewna i stali sunęły złowrogo w naszym kierunku. Skrzydła oddziałów pieszych nadciągały z drabinami, trzon szykował się do szturm na bramę. To szaleństwo, przyszło mi do głowy, nie wedrą się. Mury barbakanu chroniące bramę tworzyły wąskie gardło, zbyt wąskie, by pomieścić aż tylu atakujących. Przecież Innejczycy musieli to dostrzec!

– *Strzelać!* – wrzasnął hutman – *Szyć gęsto, psubraty, niechaj ścierva ich użyźni nam glebę!*

Złożyłem się, wychyliwszy zza blank. Słyszałem już syk zwalnianych cięciw łuków moich towarzyszy, widziałem deszcz strzał spadający na agresorów. Mierzyłem, zgodnie z poleceniem, do człowieka przy wieży. Byli całkiem blisko, nie chroniły ich już tak szczelnie osłony z belek obciążniętych skórą. Nacisnąłem lekko spust, bełt pomknął posłusznie. Trafiony Innejczyk zachwiał się, przeszedł jeszcze dwa kroki, a potem padł. Przydepnąłem strzemię broni butem, szarpnąłem cięciwę, nałożyłem kolejny pocisk. Zaczęła się bitwa o Mirrowing.

Powietrze aż drżało od bojowego ryku najeźdźców. Wielu padło od pocisków, mimo to nie milkła wojenna pieśń. Bitewny zgiełk owionął mnie setkami wrzasków, szczękiem pancerzy, sykiem nadlatujących strzał. Ruszałem się jak w transie. Załadować, wymierzyć, strzelić, załadować, wymierzyć... Ledwo zauważałem, co działo się po bokach. Celowałem, nie wiem, który to raz, palec naciskał już spust. Wtedy coś uderzyło potężnie w mój hełm. Zachwiałem się zdezorientowany, mało nie upuszczając kuszy.

– *Ostrożnie, synu!* – powiedział Gwidos. – *Uważaj na łuczników, ostrzeliwują nad bra...* – urwał nagle. Zacharczał i padł jak ścięty.

Obejrzałem się zdumiony.

– *Strzelaj dalej, nie czas na to!* – zawołał Witord.

Gwidos leżał u stóp podwyższonego chodnika. Bez wątplenia nie żył, bo jak tu żyć z drzewcem strzały utkwionym w gardle. Jeszcze przed sekundą mówił do mnie, był w pełni zdrowia, silny, waleczny, z wprawą władający swym łukiem. A teraz leżał wpatrzony nieruchomymi oczami w niebo w rozlewającej się powoli kałuży krwi. Zgasł niczym zdmuchnięty płomyk świecy, pomyślałem nie mogąc oderwać wzorku od jego truchła.

– *Rusze się, do kurwy nędzy, idą z drabiną!* – krzyk Witorda przeniknął przez zgiełk.

Popatrzyłem we wskazanym kierunku i zamarłem. Miał rację, jakieś dziesięć metrów na prawo od nas, gdzie mur odchodził w kierunku baszty, zbliżał się ukryty za tarczami oddział z solidnej konstrukcji drabiną. Podszedł niemal pod sam mur. Nikt ich nie niepokoił, nie miał już kto. Obrońcy w tamtej części, podobnie jak Gwidos, leżeli martwi podziurawieni strzałami. Hutman wołał właśnie kilku ludzi, by uzupełnić wylom, lecz, patrząc na to, oniemiały, wiedziałem, że było za późno. Zostaliśmy tu sami! Śmierć hulala dokoła niczym zjawy z opowieści podróżnego z Doliny Wyjca.

Wychyliłem się za blanki tylko na tyle, by wyrzeć, a już złowrogi świst przeszył powietrze tuż przy mojej głowie. Szaleństwo, pomyślałem, jest nas zbyt mało. Po stronie północnej wieże już niemal przybiły do murów. Wyraźnie słyszałem wrzaski Innejczyków.

– *Bronić baszty!* – głos hutmana ledwie się przez nie przebił – *Nie dajcie im wejść za wszelką cenę!*

Pobiegliśmy tam wraz z Gwidosem. Akurat, gdy dotarliśmy, atakujący oparli ciężką drabinę o mur. Zbrojny podobnie jak ja próbował bezskutecznie posłać strzałę zza blank. Wrodzy łucznicy tylko na to czekali i natychmiast odpowiedzieli ostrzałem, osłaniając wejście na mury piechurów. Stając nieco dalej zobaczyłem ich: kilku trzymało drabinę, jeden zaczynał już wspinaczkę. Wszyscy nosili ciężkie łuskowe zbroje, prostokątne tarcze i rogate hełmy z maskami. Patrząc, jak Innejczyk sprawnie pokonywał drogę na mur, miałem ochotę krzyknąć. Odłożyłem łuk, chwyciłem największy z ułożonych na stercie kamieni. Zaraz Gwidos dołączył do mnie.

*– I gdzie ci ludzie, do koronowanego chuja?! We dwóch nawet latryny nie obronimy!*

Cisnęliśmy jednocześnie. Mój pocisk załomotał o tarczę, którą zdążył zasłonić się wojownik na drabinie, lecz drugi ugodził jego nieosłonięte ramię. Innejczyk runął ciężko na ziemię. Nim kolejny spróbował wejść, odepchnęliśmy drabinę długimi halabardami.

Nasze małe zwycięstwo niewiele dało. Na północnych odcinkach doszło już do walki wręcz. Opancerzeni od stóp do głów piechurzy szturmowali mury poprzez przerzucone z oblężniczych wież pomosty.

*– Chwytaj za kuszę, synu i ruszaj tam pomóc. Tu póki co nie przejdą* – powiedział Gwidos ciskając dalej kamieniami.

Wiedziałem, że powinienem iść, musiałem wręcz. Bitwa rozgorzała na dobre. Nie była już zaledwie pojedynkiem oddalonych strzelców, stanęliśmy twarzą w twarz, ciało przy ciele z wrogiem. Podczas tych bezlitośnie ciągnących się godzin oczekiwania nieuniknionego setki razy próbowałem wyobrazić sobie przebieg starcia. Nigdy nie walczyłem, skąd miałem wiedzieć? Będąc teraz w samym środku bitewnej zawieruchy rozumiałem jedno: hutman miał rację. Podniosłe pieśni nijak miały się do szaleństwa, którego byłem świadkiem.

Opancerzone postacie zwarły się w śmiertelnym klinchu. Jedne ze wszystkich sił parły, by wejść, inne by dać im odpór. Wśród ryku dziesiątek gardeł i trzasku stali, oręż wszelkiej maści tłukł zapamiętałe napędzany wściekłością. Oniemiały patrzyłem, jak Innejczyk z pierwszego szeregu napierających chwieje się po straszliwym ciosie młota w zamaskowaną głowę, a potem spada z pomostu, by ciężko grzmotnąć o ziemię u podstawy muru. Wyłom w grupie atakujących został natychmiast uzupełniony, bo oto następny, stojący z tyłu, aż rwał się do walki. Wziął krótki rozpęd i brutalnym kopnięciem odepchnął na bok tarczę obrońcy na murze. Nim ów zdołał zasłonić się nią na powrót, rozhuśtany oburącz topór rozplątał mu obojczyk przerażając kolczugę jakby była z pergaminu. Zachęceni tym Innejczycy naparli jeszcze mocniej, rozjuszeni jak dzikie zwierzęta na widok krwi.

*– Na co ty, kurwa, czekasz?!* – krzyk Gwidosa wyrwał mnie z paraliżu. *– I gdzie jest hutman?! Co za jebany burdel, czy nikt tu już nie dowodzi?!*

Miał rację, Ronam Burgenbaum zniknął. Jeszcze chwilę temu, strzelając, widziałem go kątem oka, słyszałem jego komendy. Nigdzie nie mogłem go dostrzec wśród zalegających wszędzie trupów. Aż zadrżałem, tak wiele ich było. Mimo to obrońcy jakoś utrzymywali pozycję. Żaden Innejczyk nie zdołał jeszcze postawić stopy na murach. Ale jak długo miało to potrwać? Widziałem już kolejne oddziały nadbiegające z drabinami. Siły wroga zdawały się niewyczerpane, nas ubywało w zastraszającym tempie.

Nogi poniosły mnie same. Minąłem Gwidosa rzucającego trzymany nad głową kamień i wbiegłem do baszty. Krzyknął coś za mną. Nie zatrzymałem się. Zeskakiwałem po trzy stopnie, nie wiem jak udało mi się nie wywrócić na skrzyconych schodach. Pokonawszy je, cisnąłem za siebie ten idiotyczny hełm i wbiegłem z budynku. Ani się obejrzałem. Z kuszą w rękach ruszyłem co tchu nie myśląc nic, po prostu chciałem uciec jak najdalej od tego szaleństwa.

Miasto wyglądało na wymarłe. Cóż za upiorne wrażenie, gdy na zazwyczaj szemrzących gwarem ulicach nie ma żywego ducha. Nawet tu jednak doganiał mnie przytłumiony bitewny zgiełk. Minąłem dobrze znany dziedziniec straży oraz jedną z tawern i znalazłem się na głównej ulicy. Rozejrzałem się niepewnie. Moja ręka sięgnęła pod skórznie, dłoń wymacała chłodny metal. Klucz od domu cały czas wisiał na sz-

nurku u szyi.

Nim zdołałem choćby pomyśleć, już skoczyłem bezwiednie, skoro tylko uszu mych dobiegł hałas. Ze wszystkich sił ściskając łożę kuszy przylgnałem do ściany gospody. Instynktowny odruch był jak najbardziej prawidłowy, bo usłyszany rytmiczny dźwięk nie mógł być niczym innym, jak tylko krokami. I to krokami kilku przynajmniej ludzi w brzękających przy każdym ruchu pancerzach.

Od wschodniej bramy budynek gospody oddzielał plac, na którym zazwyczaj mijali się przybysze i opuszczający Mirrowing. Były tam też posterunek strażników kontrolujących podróźnych i pobierających opłaty oraz kilka innych zajazdów oczekujących na gości. Pospieszne kroki, szczęśliwie, zmierzały w stronę bramy oddalając się ode mnie. Musiał być to jakiś oddział obrońców, lecz zastanowiło mnie dlaczego nie stali teraz na murach. Wobec groźby przebicia się oblegających, ci ludzie nie próbowali ich zatrzymać, tylko włączyli się tutaj. Po co?

Ktoś zawołał donośnie. Schowany za węglem nie widziałem, co się tam działo, słyszałem tylko, że doszło do jakiejś wymiany zdań. Podniecone głosy mówiły jeden przez drugiego, z tej odległości niestety nie mogłem rozróżnić słów. Ku własnemu zdumieniu, za to, rozpoznałem jednego z mówiących. Ćwicząc się na dziedzińcu straży zdążyłem przywyknąć do władczości przepełniającej ten głos i teraz też ją słyszałem w wykrzykiwanych rozkazach. Tym razem jednak ktoś wyraźnie nie chciał podporządkować się poleceniom hutmana, wręcz dyskutował z nim coraz zacieklej. Dowódca straży tutaj? W takiej chwili?! Nic z tego nie rozumiałem. Dlaczego zamiast dowodzić obroną, przyprowadził tu oddział?

Jak się domyślałem, jego rozmówcami byli strażnicy pilnujący wrót miejskich, ale nie potrafiłem odgadnąć, czegoż Ronam Burgenbaum mógł chcieć od nich, że kwestionowali jego polecenia. A kwestionowali z pewnością, dobiegające mnie głosy mówiły z coraz większym zagniewaniem. Pomimo łomoczącego ze strachu serca, wychyliłem się ostrożnie za róg budynku. Byli zbyt zajęci sobą, by mnie dostrzec, nikt nawet nie patrzył w stronę karczmy.

Zwróceni do mnie plecami stali zbici w grupę. Naliczyłem piętnastu mężczyzn w pełnym rynsztunku. Łatwo było wypatrzeć wśród nich hutmana, ponieważ był niewysoki, czym zdecydowanie odstawał od pozostałych. Nie potrafiłem rozeznaczyć, kto przybył tu wraz z nim, ale postawy wszystkich zdradzały nerwowość. Spór zdawał się narastać z każdą chwilą. W pewnym momencie dowódca straży wykonał niespodziewany ruch ręką, dał krok naprzód i dopiero, gdy stojący przed nim żołnierz zwałił się ciężko na ziemię, dotarło do mnie co się dzieje. Obnażona stal błysnęła w jednej chwili w ślad za szablą hutmana, bojowy wrzask wybuchł gwałtownie. Brutalna potyczka nie trwała długo. Strażników bramy – teraz już wiedziałem, którzy to byli, gdyż wszyscy leżeli martwi – podobnie jak mnie całkowicie zaskoczył taki taki obrót wydarzeń. Ludzie hutmana dla pewności podźgali pokonanych szpicami mieczy. Potem kilku z nich ruszyło ku zamkniętym wrotom.

Oszołomiony widokiem zadanej tak gwałtownie śmierci, zamarłem. Nic nie pojmowałem. Nie potrafiłem przyjąć do wiadomości tego, co widziałem na własne oczy. Ronam Burgenbaum, dowódca straży miejskiej, z zimną krwią zamordował kilku ze swoich podkomendnych, a dopomogli mu w tym inni! Teraz, jakby nic się nie stało, stał w ich grupie rozmawiając z jednym. Był ustawiony bokiem do karczmy, dzięki czemu zauważyłem jego twarz w otwartym hełmie. Nagle zrozumiałem. Straszliwa prawda runęła na mnie jak gład, gdy zobaczyłem, co żołnierze robili przy bramie.

Hutman, jak przypuszczam, wydał jakiś rozkaz, jego ludzie zasalutowali mu. Po dokonanej mordzie nie schowali broni. Wszyscy naraz skierowali się w stronę ulicy. Z mojej kryjówki byli doskonale widoczni,

mogłem z pewnością wykluczyć, że oczy mnie zmyliły. Cała grupa, nie wyłączając Ronama Burgenbauma, ukryła twarze za zasłonami swoich hełmów. Szli niespiesznie, a ja poczułem jak w nogawce moich spodni sphywa ciepła wilgoć. Krzyk uwiązał mi w gardle.

Ich oblicza przesłoniły budzące u wielu paniczny lęk przed nadnaturalnymi istotami stalowe maski Innejczyków.

Zbyt wiele tego było, wszystko zawaliło się na moich oczach. Paraliż kończyn nagle minął i po prostu puściłem się biegiem. Nie mogłem na to patrzeć, chciałem jedynie jak najszybciej zamknąć się w bezpiecznym domu, odgrodzić od tego szaleństwa, udawać, że jest jak dawniej. Biegłem jak dziki nie panując nad sobą, w myślach powtarzałem tylko gorączkowe zaprzeczenia. Ale nie mogłem zaprzeczyć temu, co widziałem. Zauważyli mnie, krzycząc coś, ruszyli w pogoń. Niesiony paniką krążyłem wśród biednych domów dzielnicy pod murem, byle dalej, byle gdzie. Dopiero, gdy całkiem niemal opadłem z sił, przystanąłem ukryty w jakimś zaułku. Dysząc z wysiłku czekałem tam, ale nikt nie nadchodził. Najwyraźniej udało mi się zgubić prześladowców. Zalegająca tu cisza szarpała nerwy. Wszyscy mężczyźni walczyli na murach, kobiety, dzieci i starcy pozamykali się na głucho w swych domostwach. I słusznie, nie będzie długiego oblężenia. Wszystko już stracone.

Coś poruszyło się u wyjścia zaułka. Piskliwy wrzask wyrwał mi się z gardła, gotów do ucieczki prawie upuściłem kuszę. Wychudzony kot spojrział na mnie szeroko otwartymi ślepiami, pewnie równie przeżonymi, co moje. Zakląłem cicho. Złapawszy wreszcie oddech, ruszyłem szybko do wschodniej części miasta. Klucz na szyi był mi pokrzepieniem, ostatnią oazą bezpieczeństwa, która jeszcze została. Na kilkanaście minut zostałem cieniem wąskich, bocznych uliczek. Jak ten kot przemykałem cichaczem i tak samo jeżyłem grzbiet na każdy szmer za plecami. Nie odważyłem się wyjść na główne miejskie trakty. Wkroczywszy do Mirrowing, nieprzyjacielskie wojska bez wątpienia właśnie te opanują w pierwszej kolejności. Zrobią to, pomyślałem zszokowany, bo wpuścił je tu ten, kto za zadanie miał zapewnić im bezpieczeństwo.

Potknąłem się na nierównym bruku, niemal upadłem.

– Zdradził... – cicho wyplułem z siebie to słowo, niczym najgorsze przekleństwo, i nawet usłyszawszy je z własnych ust nie mogłem w nie uwierzyć.

Rozmawiał ze mną, udzielał rad, dzielił się przemyśleniami, równocześnie wiedząc, co wkrótce uczyni. Choć nie mogłem tego zobaczyć, już wtedy twarz Ronama Burgenbauma przesłaniała stalowa maska o beznamiętnym obliczu. Skręciłem za róg i wyszedłem na ulicę, gdzie, zdawałoby się wieki temu, wyruszał w swą podróż mężczyzna z przeładowanym wozem, by nigdy tu już nie powrócić. Kilkanaście metrów dalej zobaczyłem mój rodzinny dom, a na jego progu człowieka odzianego w tę właśnie przeklętą maskę.

Czekał na mnie – wysoki, ciężki, z kolczugą chroniącą masywną pierś i rogatym hełmem na głowie. Jego wykuta ze stali twarz lśniła lekko w słońcu. Bez słowa wymierzył załadowaną kuszę. Skąd wiedział?! – zawyłem w myślach, czując nadpływającą falę lodowatej grozy. Instynktownie skoczyłem w bok. Mechanizm szczęknął złowrogo i belt przeszył powietrze. Padając ciężko na wyłożoną kamieniem ulicę, dobiegł mnie świst przelatującej o włos śmierci. Zdezorientowany podniosłem się ledwie do klęku, widząc jak wróg ładuje broń do ponownego strzału. Nie był w tym biegły, zauważyłem z jakąś przerażającą jasnością. Próbuując przydepnąć, wsunął stopę zbyt płytko w strzemię i poderwał całą kuszę do góry zamiast zaciągnąć cięciwę. Wtedy przypomniałem sobie, iż moja jest już naciągnięta. Klęcząc sięgnąłem do

kołczanu.

Innejczyk przez sekundę miotał się niezdecydowany. Zauważył mój ruch, musiał zrozumieć, że nie zdąży. Z wściekłym pomrukiem odrzucił broń. Ruszył biegiem, w jego rękę błysnęła srebrna klinga wyciągane z pasa długiego noża. Dzielący nas dystans zaczął maleć przerażająco szybko. Biegiem wypadł mi z drżącej dłoni, łożo kuszy ślizgało się w spoconych palcach. Skórzane buty łomotały wściekle o bruk coraz bliżej. Nie patrzyłem tam. Walcząc z ogarniętym paniką ciałem, skupiłem całą uwagę, by wepchnąć pocisk w rynienkę. Napastnik wrzasnął. Był już metr ode mnie i kątem oka dostrzegłem, jak spręży się do skoku. Przeklinałem w myślach własną niezdarność, gdy wreszcie oporny kawałek drewna wskoczył we właściwe miejsce. Unosząc broń, ujrzałem wymierzony w siebie szpic noża.

Palec z całych sił nacisnął dźwignię spustu. Zdażyłem jeszcze desperacko zasłonić się kuszą, gdy Innejczyk runął na mnie całym ciężarem masywnego cielska. Na moment straciłem oddech, przygnieciony. Uderzył mnie kwaśny odór potu i znoszonych ubrań. Niezdolny do dalszej obrony, po prostu czekałem na śmierć czując, jak nieprzyjaciel wznosi zablokowane ramię do ponownego, tym razem sięgającego celu ciosu. Stęknął, z głośnym grzechotem kolczugi wziął zamach, a potem opadł ciężko na mnie i zniechęcony. Wypuszczony z ręki nóż potoczył się z brzękiem po bruku.

Leżałem tak chwilę, aż paralizujący strach zelżał. Dopiero wtedy, z niemałym trudem, wygramoliłem się spod masy zakutego w stal ciała. Innejczyk dalej nie uczynił żadnego ruchu. Ostrożnie, gotów w każdej chwili odskoczyć, przewróciłem go na plecy. Ponad wydatnym brzuchem w jego piersi tkwił wbity głęboko złamany białek. Nie zatrzymały go oczka kolczugi, z tej odległości żaden pancierz by temu nie poddał. Usiłując zebrać myśli, stanąłem wyprostowany na wciąż drżących nogach – ja, żywy zwycięzca, nad nim, martwym pokonanym. Jakim cudem wiedział, że właśnie tutaj będę zmierzał? Był wrogiem z obcego królestwa, nie znał mnie ani tego miasta. Może w pogłoskach o nadnaturalnych zdolnościach Innejczyków tkwiło jednak ziarno prawdy. Czy to jego krwiożercza natura wskazała mu drogę, prowadząc niechybnie do ściganej ofiary?

W ciszy opustoszałej ulicy patrzyłem tępo w martwe oczy wroga widoczne zza otworów maski. Były niebieskie, szeroko otwarte i nieruchome. Pochyliwszy się, odrętwiała jak we śnie, bo wciąż nie przywykłem do widoku śmierci, usiłowałem odpiąć pasek mocujący hełm, lecz moje dłonie nie odzyskały jeszcze dawnej zręczności. Przeciąłem go porzuconym na ulicy nożem i, po krótkim wahaniu, ściągnąłem stalową łebkę z głowy pokonanego. Kario Mittel popatrzył w niebo niewidzącymi, pustymi oczyma.

Z pełnym obrzydzenia jękiem odskoczyłem jak oparzony. Oto i odpowiedź skąd wiedział. Znał mnie. Niegdyś wielokrotnie nalewał mi piwa w swym szynku, śmiał się, zartował i dzielił wieściami, a dziś o mało nie zadźgał mnie na śmierć. Bolesny okrzyk wyrwał się z moich ust. Z całych sił cisnąłem trzymanym wciąż w rękę hełmem w leżące na ulicy truchło. Czy ćwicząc się wraz z innymi pod okiem hutmana wiedział już, że zdradzi? Czy doskonalił celność tylko po to, by pewnego dnia posłać grot bełtu w moją pierś?

– *Niech was wszystkich...!*

Niemal nic nie widziałem przez napływające do oczu łzy. Oto i nastał koniec wojny, pomyślałem gorzko, wcale nie dlatego, że oręż Innejczyków nas pobił. To my sami się im poddaliśmy.



*Dwudziesty ósmy czerwca 745 roku.*

W mroku zamkniętych na głucho okiennic domu czekałem, aż po mnie przyjdą. W głowie jedna myśl goniła drugą, każdy hałas na zewnątrz wydawał się nadejściem wrogów. Zastanawiałem się, jaki los spotkał ojca, lecz bez większej nadziei.

Załadowana kusza spoczywała na stole w zasięgu ręki. Pod nim leżała dziurawa kolczuga i ten przeklęty Innejski hełm. Nie miałem dość sił, by ukryć gdzieś zwłoki. Kario ważył zbyt dużo, a sama nawet myśl o dotykaniu go sprawiała, że chciało mi się wyć. Bez rynsztunku wyglądał jak zwyczajny miejski oberżysta, którym przecież był. Chciałbym zapamiętać go takiego, ale wiem, że, podobnie jak tej nocy, nieraz jeszcze będą męczyć mnie urywane koszmary o zamaskowanym prześladowcy czekającym przed domem, by odebrać mi życie.

Tupot podkutych butów natychmiast zwrócił mą uwagę. Zbliżali się, wielu. Nie pierwszy raz, od wczoraj sporo Innejskich wojsk przemaszerowało tędy. Czekałem w napięciu i odetchnąłem dopiero, gdy kroki umilkły. Kiedyś będę musiał w końcu stąd wyjść, pomyślałem ocierając spocone czoło. Gdy opadnie wojenne zamieszanie, trzeba będzie jakoś żyć dalej. Przecież chyba nie spalą miasta i nie wymordują wszystkich mieszkańców? Dawni władcy ustąpią miejsca nowym, a Mirrowing pozostanie... takie, czy inne.

– *Gdzie tam filujesz?* – odezwał się nagle ktoś starym, zmęczonym głosem tuż za oknem.

Aż podskoczyłem, mało nie spadając przy tym z ławy.

– *Truposz może mieć co...* – odparł drugi głos, młodszy i mniej wyraźny, bo dobiegał z większej odległości.

– *Wsio zabrali, nie warto.*

Przez chwilę słychać było szuranie po ulicznym bruku. Ci dwaj musieli zostać w tyle za przechodzącym oddziałem, pomyślałem.

– *Dziad mój o złocie mówił* – przemówił znów ten pierwszy.

– *Co?*

– *Widzisz, jak ten kamień pokładziony. Życie postradać można leżąc za prędko. A dziadko powtarzał zawsze, że drzewiej uliczki Mierowca to były złotem wyłożone, nim nam ścierwowe miecze zrobiły zabór i wyгнаły precz.*

– *Jesio nim Nieznaini przyszli?* – zapytał młodszy.

– *Ano. Pierwej starsi społem nakładli nam klechd do łbów, przeto każdy szedł chętnie. Łacno naopowiać młodym, wryrywnym głowom o skarbach, byle wroga chętnie biły.*

– *Skarbów tu nie uświadczysz, nieuzbrojonym okiem widać. Imć umarlak też gołodupiec... haja miał tylko.*

Co za dziwny język, czy tak właśnie mówią Innejszczyk? – zastanawiałem się.

– *A poszedłbyś, gdybyś wiedział?* – zachnął się starszy z mężczyzn. – *Tyś w wieku młodym, pożyjesz jeszcze. A ja co? Całe życie o tę kupę kamieni przewojowane!*

– *Ziemię dostaniesz, osiądziesz spokojnie, by kresu dni czekać.*

– *Tutaj?! W Gobletynie prędeż bym chciał. Na pastwiskach spokojnych i łąkach zielonych, z dala od fortec. Tu rychło znów po miecz sięgną, powiadam tobie. Nieznaina jak drzwiami wywalisz, oknem zaraz wróci, bo nie zdierży. Grasjan siła lat już na tronie i nie odda łącno ojcowej zdobyczy.*

Głosy zaczęły się oddalać, najwyraźniej tych dwóch zamierzało dogonić kompanów.

– *Mirowiec już nasz, a ichni skrwawiony pieniądz!* – odrzekł młodszy. – *Psy sprzedajne nieznainskie!* – splunął głośno. – *Uchowaj nas losie przed takimi, co by za denary pana swego się wyrzekli. Z nimi koniec już, tak czuję. Tyle lat wojaczki, a co zabrali, stracili. Atoli szczura, gdy w róg zagonisz, rzucić się do gardła potrafi, jak nie ma już gdzie ująć. Tako też Nieznaini pobici dziś, mogą...*

Nic więcej nie słyszałem. Innejszy żołnierze odeszli.

Siedzę tak dalej, a jest już po zmroku, i rozważam, co mówili. Przypomina mi się opowieść ojca o dawnych podbojach królestwa. Wzmianka o jakimś Gobletynie przywołała też wspomnienia o domu rodzinnym hutmana w Goblet Hills. Czyżby tak w ich języku brzmiały nasze nazwy? Mirowiec był zdobytym właśnie Mirrowing?

Niech sobie inni płyną na falach, jak próbował tłumaczyć mi hutman. Ja zamierzam żyć swoim życiem, bo tylko ono jest prawdziwie moje. Na nie mam wpływ, nie na wielką rozgrywkę między siłami, których nie potrafię nawet nazwać. Ojciec miał rację, poradzę sobie. Roniąc ciche łązy, dziękuję mu w myśli za wszystko, czego mnie nauczył, żegnając się z nim bezgłośnie.

---

*Trzeci maja 769 roku.*

Pamiętam jak we mgle, że drzewiej też podobne zapiski ręką mą młodzieńczą czyniłem. Filozof, czy skryba ze mnie żaden, atoli wydarzenia wokół wołają aż nieomal, by na pergaminie inkaustem je utrwalić, co by za lat kolejnych kilka przeczytać i westchnienie tęskne wydać do własnej przebytej drogi, jak i polityczne meandry mieć na uwadze. O politykę wszak rzecz najmocniej idzie.

O wojnie wieści po ulicach Mirowca krążą i w karczmach ludzie gadają. Po mojemu, zawżdy ona gdzieś trwa. Póki jest złupić coś sposobność, zawżdy zbójców przyciągać będzie niczym lisy do kurnika. Tych tutejszych Nieznainami zwą. Z zachodu gdzieś siłą ludu do królestwa nadeszli, aż z Rowans, wieść niesie. Jegomość jeden spotkany dziś na targu mówił, że ich przebytą drogę dym spalonych wsi spowija, jak i trupów okaleczonych szkaradnie stosy całe. Nie wiem sam, czy wiarę temu dać, aliści wielu tak mówi, przeto i prawdy część może zawierać. Powiada się, iż w sercach człowieczych szczególnie upodobanie ma lud Nieznainów i z piersi poległych wyrwawszy, spożywają je, upust krwawym żądzą dając. Na czele ich marszałek pono stoi, leciwy szubrawiec nazwiskiem Burgenbaum – najemnik, morderca i okrutnik, co to kobiety pojmane żywcem ze skóry obdzierać ma zwyczaj, rycząc przy tym w głos śmiechem.

Gdzieś chyba słyszał już to nazwisko, może drzewiej wieści niosły o jego obrzydliwych czynach. Tutaj,

w Mirowcu, atoli nikt przed nim trwogi nie odczuwa. Mury miasta grube są i niezdołyte od czasu Wielkiego Wyzwolenia sprzed nieomal ćwierci wieku. Siła wojsk tu stoi, a trakty są bezpieczne. Gdzieżby nam tu kto napad szykował i po cóż?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Gabriel Dobosz, dodano 28.02.2019 11:19

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).